Duże przyjemności lubią mieć swoją cenę, co potwierdza niemałym rozmiarem (520 stron) rozprawa doktorska mgr Kornelii Sobczak, poświęcona „Kamieniom na szaniec” Aleksandra Kamińskiego. W naszych czasach, gdy doktoraty nagminnie zjeżdżają już ponad 200 stron, musi on zwracać uwagę. Związka, że to praca niebanalna, na wysokim poziomie, poznawczo odważna. Jest oczywiście sporą hipokryzą, gdy recenzent zaczyna od objętości, a sam 40 lat wcześniej napisał dwa razy grubszym doktorat niż ten, ale widocznie jest tego jakas przyczyna, której nie należy demaskować przed czasem. W każdym razie autorka tej pracy nieraz będzie musiała udzielać odpowiedzi na pytania, jak można napisać kilkusetstronicową książkę na temat utworu, który liczył (w pierwszym wydaniu 124 strony). Jak jednak dowodzi historia kultury, utwory objętościowo skromne, kameralne, a nawet artystycznie mierne potrafią trafić na półkę z arcydziełami. Chociaż więc „Kamienie na szaniec” to książeczka szczupła, w ostatnim wydaniu ok. 150-stronicowa, a jej pozycja w literaturze polskiej, jest bardziej symboliczna niż artystyczna, nikt nie odwazy się kwestionować jej roli we współczesnym kanonie klasyki, w dyskusjach nad pojmowaniem polskiego modelu patriotyzmu, etyki obywatelskiej i odpowiedzialności, a wreszcie jej pozycji w powojennym modelu edukacji. Stała wreszcie (od ponad 70 lat) obecność tej pozycji w narodowej wyobraźni, usprawiedliwia wzniesienie tak okazalonego bastionu analitycznego, zwłaszcza że stawała się ona niejeden raz pretekstem do pryncypialnych dyskusji nad modelami polskości.

Przystępując do lektury tej dysertacji, odczuwałem ciężar, bo przypadła na trudny dla mnie okres (ubytki zdrowia, nadmiar naucznania zdalnego i innych obowiązków), a domagała się ona koncentracji i skupienia ze względu na ilość i wagę problemów, z jakimi się mierzyła, a także ze względu na swoją bezkompromisowość i pryncypialność w dyskutowaniu kulturowych tabu. Strażników legendy „Kamieni” liczne partie tej dysertacji, gdy uzyska kształt książkowy, bez wątpienia

Zanim do nich przejdę, aby uniknąć dysonansu pomiędzy uwagami i pochwałami, chcę powiedzieć, że praca Kornelii Sobczak nie pozostawia żadnych wątpliwości, co do jej oceny. Nie ma tu miejsca na rozterki, czy mamy przed sobą doktorat „statystyczny” czy wyróżniający się; czy jego autorem jest czeładnik, który potrzebuje jeszcze opieki, czy dojrzały już badacz, który może ruszyć własną drogą. Tu o tego typu dylematach w ogóle nie ma mowy. Przedstawiona do oceny rozprawa doktorska prezentuje się znakomicie, ujawnia umiejętność głębokiego czytania literatury i świadomość w dotykaniu spraw trudnych oraz kontrowersyjnych. Jej autorka to badaczka „gorąca”, pełna temperamentu, z trudem znosząca wędzidło naukowości, więc niejednokrotnie posługuje się aparatem krytycznoliterackim, a nawet sięga po oręź publicystyki, bo nie unika sporów i polemik. Nie ukrywa się za maską metody, ale śmiało eksponuje swoje „ja”. Nie jest to postawa szczególnie dobrze widziana przez literaturoznawców starszej daty, ale ja nie mam z tym problemu. Choć w zakończeniu zapewne dorzucić jakieś „ale”.

W moim przekonaniu, mamy przed sobą badaczkę naprawdę utalentowaną, posiadającą ugruntowany warsztat filologiczny oraz wiedzę pozwalającą pracować na najwyższym poziomie merytorycznym, a jednocześnie konfrontować się ze zjawiskami artystyczno-ideowymi, które uważa za bliskie (lub wrogie) swoim poglądom i wyobrażeniami na temat ich funkcji społecznych oraz miejsca w życiu duchowym narodu w XX i XXI wieku. Praca jej ogarnia bowiem spory i dyskusje obejmujące spory sztucznego czasu (1943-2014), gdy punkty widzenia oraz ich polityczno-ideowe oświetlenia moço się zmieniły. To badaczka o wyrazistym profilu światopoglądowym, którego nie ukrywa, lecz wręcz eksponuje.

Czytając pracę mgr Sobczak, wielokrotnie czułem się uderzony siłą i precyzją jej argumentacji, umiejętnością czytania „pod włos” uklepanych zdawałoby się na śmierć tekstów i wyciągania z nich wniosków, które ich autorów raczej by zdumiały; uwodziła mnie polemickim sprytom i inteligencją, wreszcie elegancją i wyczuwaniem, z jakimi prowadzi swoje wywody na temat spraw naprawdę drażliwych. W jej ręku drewniany często wywód naukowy staje się narzędziem efektywnym, bo potrafi przy okazji zadbać o językową wykwintność (choć zdecydowanie przesadza z piętrzeniem układów stylistycznych, mnożeniem epitetów i określeń). Mówiąc wprost: ta praca ukazała mi nie tylko rzetelną i precyzyjną badaczkę, która dąży do chłodnej oceny faktów oraz utrwalonych w
słowach przekonań, ale również utalentowaną publicystkę (z zadatkami na pisarke), która prześwietlając kultową książkę kilku pokoleń Polaków oraz sposoby jej rozumienia i czytania na przestrzeni siedmiu dekad, nie zapomina o wyrażaniu siebie. Robi to na trzy sposoby: prezentuje własną wizję zdarzeń, które stoją u jej genezy, przedstawia swoją ocenę tego, w jaki sposób ją rozumiano, oceniano, wartościowano, ale i manipulowano (z najlepszą intencją obywatełską), a wreszcie robi to, posługując się językiem noszącym wyraźne piętno jej osobowości.

Praca mgr Sobczak jest tak bogata problemowo, że siłą rzeczy zrodziła we mnie sporo myśli, czasem bardziej, czasem mniej zbieżnych z moim obrazem lub odczuwaniem omawianych kwestii, ale od początku do końca towarzyszyło mi przekonanie, że mam do czynienia z tekstem, któremu warto poświęcić uwagę. Zwracam na to uwagę, bo tam gdzie dotyka się kwestii trudnych, nie ma wniosków prostych i jednoznacznych, a więc nie wszędzie da się zamknąć w komplementach. Niestety nie wszystkimi swoimi myśladami będę się mógł podzielić, bo wtedy musiałbym napisać sążnisty artykuł, więc ograniczę się do tych najbardziej natarczywych, które nie opuścili mnie po zamknięciu ostatniej strony.

Jak przystało na recenzję dysertacji doktorskiej, wypada zrekapitulować jej zawartość. Składa się ona z sześciu rozdziałów, z czego dwa pierwsze, 50-stronicowe, poprzedzają cztery masywniejsze, liczące od 70 do 140 stron.

AUTORKA rozprzecznia od osobistych uwag na temat znaczenia, jakie „Kamienie na szaniec” miały w jej życiu oraz rosnącego wraz z dojrzewaniem poczucia, że jej odbiór coraz bardziej różni się od spojrzenia rówieśników, a przede wszystkim artykułowanych w edukacji szkolnej i opracowaniach przesłań, eksponujących sens i piękno patriotycznej ofiary. Jak wyznaje, uderzona była bogocząstymi kliszami tego normatywnego odbioru i jego intelektualną „płaskością”, brakiem refleksji na temat np. progresywnistycznych aspiracji, jakie przyswiecają jej bohaterom i autorowi, a wreszcie nieumiejętnością dostrzegania dewastującego psychicznie i moralnie obrazu wojny. To ustawienie „Kamieni” w roli obowiązkowej lektury, patriotycznego abecadła i przewodnika moralnego sparaliżowało, jej zdaniem, możliwość głębszego czytania książki, spychając ją do roli legeny oraz szlachetnej literackiej ramoty, a zarazem blokując szanse jej odważniejszego, krytycznego czytania. Stąd opór autorki i potrzeba, by spojrzeć na nią odważnie i „poddąć ją oglądowi w historycznym kontekście jej powstawania, by poddać namysłowi wartości i imponderabilia formacji kulturowej, która stanowiła dla dzieła i jego autora mentalne zaplecze”. Odwołując się do berentowskich kategorii biosu i logosu, jako dwóch sił walczących o kształt historycznej pamięci, przypomina więc o naturalnym
procesie nieuchronnego „pozerania” konkretnie przez mit, o przechodzeniu żywych faktów w ten wymiar kulturowy, w którym formowane są przez zbiorową wyobraźnię, a sposoby ich percepcji utrwała literacka tradycja. W wypadku narodowych dramatów mechanizm ten działa z wyjątkową siłą, bo dotyczy rozległych traum zbiorowych, które potrzebują kulturowego „opatrunku”. Jak on działa, pokazuje Sobczak na przykładzie – mierzącej się z pamięcią wojny – prozy Tyrmanda, Konwickiego i Białoszewskiego. Wszystko to zaś jest formą przygotowania gruntu pod nowe, podsyte nieufnością odczytanie „Kamieni na szaniec”.

Rozdział drugi, „W stronę autora”, Sobczak rozpoczyna rozważaniami na temat niejednokrotnie kwestionowanych wartości literackich „Kamieni na szaniec”, co w wypadku książki kultowej jest sporym problemem – zarówno dla czytelników, jak i badaczy literatury, bo z miejsca rodzi pytanie, na czym w takim razie opiera się jej kulturowa pozycja. Jest on kluczowy i dla autorki tej dysertacji, w końcu rzeczniczki tego utworu, więc tak zostawia opinie krytyków i literaturoznawców, by się wzajemnie buforowały, by oskarżenia o jego artystyczną „marność” jakość zniuansować, poddać w wątpliwość, ująć w nawias wątpliwości. A ponieważ bohaterowie powieści mieli swoje pierwioszory, dziś już kanonizowane w kronice polskiego patriotycznego czynu, otwiera to niemalą przestrzeń, na której można rozcieńczyć ten niewygodny problem – w dociekanach nad gatunkowością, proporcjami pomiędzy dokumentalistyką a literackością, spłatami prozy rozwojowej, reporządu oraz XX-wiecznej hagiografiastyki. Intencja autorki jest łatwo czytelna, bo sztyta grubymi nićmi, co można zrozumieć, bo zmuszona do rzetelnej ewidencji bogactw stylistycznych i psychologicznych tej prozy oraz porównań z arcydziełami prozy, byłaby pewnie w nie łada opałach, więc szukając wyjścia z opresji i broniąc „Kamieni” przed klasyfikacją wśród przejawów patriotycznego panegiryku powoława się na świadectwo samego Kamińskiego, który wielokrotnie zarzekał się, iż swoich młodych przyjaciół nie idealizował i nie upiększał. Sugeronowalbym w takich momentach ostrożność, bo jak pamiętamy, utrzymywał również, że jego utwór ma charakter mediumiczny, czyli niejako „podyktowany” przez swoich bohaterów.

Na szczęście autorka w pewnym momencie roztropnie wycofuje się z tego grząskiego terenu, zastępując pytanie, czy jest to utwór literacko wybitny/kiepski, pytaniem: jakiego typu pisarzem był Kamiński? I tu następuje ciekawa materiałowo partia, pokazująca go jako literata sui generis, eksploatującego chętnie gatunek charakterystyczny dla środowiska, w jakim działał – harcerską gawędę. I oczywiście jego pochodne. Sobczak omawia więc popychione przez niego opowieści biograficzne, nieprzypadkowo akcentując ich parenetyczną funkcję, po czym przechodzi do analizy jego pamiętnika, wykazując się przy tym

Rozdział trzeci, noszący tytuł „Autor”, przynosi zarys biografii Aleksandra Kamińskiego, doprowadzony do końca września 1939 r., a dokładnie mówiąc do przededniu powstania Szarych Szeregów. Autorka ukazuje naprawdę trudną wspinaczkę życiową harcmistrza, w której zbudował sam siebie i akcentuje inkluzywny charakter jego pojmowania idei harcerstwa oraz ruchu zuchowego. Sporo uwagi poświęca wreszcie jego stosunkowi do mniejszości narodowych (szczególnie zwraca uwagę na pozbawiony uprzedzeń stosunek do Żydów), co powodowało, że nie mógł liczyć na silną pozycję i wysokie funkcje w Kwaterze Głównej ZHP. Dalsze jego losy i dokonania są rozsiane po dalszych częściach tej pracy, więc później wyłącza nam się, tu i tam, to jako redaktor „Biuletynu Informacyjnego”, to jako autor „Wielkiej Gry” oraz naturalnie „Kamieni na szczątkach”. Jego perpetyiom i zasługom jako twórcy koncepcji Małego Sabotażu oraz szefa Biura Informacji i Propagandy Okręgu Warszawa AK, Sawicki poświęca mniej uwagi, choć ich nie lekceważy.

Rozdział czwarty, pt. „W stronę książki”, prawie stustringowy, przynosi ciekawą rekonstrukcję środowiska, z którego wyłoniła się harcerska czołówka, która stała się fundamentem Szarych Szeregów. Jej liderzy spotkali się w elitarnym warszawskim gimnazjum im. Stefana Batorego, więc autorka przybliża je nam poprzez wspomnienia jej uczniów, jak i utrzymane w gombrowiczo-skim duchu opowiadanie Krzysztofa Kamila Baczyńskiego „Gimnazjum imienia Boobalka I”, prowadząc nas prostą drogą do kwestii oczywiste i dziś nawet tzn. w jakim stopniu ta szkoła była poddana wpływom ONR-u oraz na ile jej ideologią mógł zainfekować się Jan Bytnar-Rudy. Jak pamiętamy bowiem, w 2013 r. doszło do spektakularnej próby zawłaszczenia go przez działaczy skrajnej prawicy, a i wcześniej w kilku publikacjach pojawiały się wzmianki pozwalające go lokalizować w tym kręgu. Sawicka wiele wysiłku poświęca temu, by przekonać nas, że jej bohater (autorka przyznaje się do bliskości) zaledwie otał się o to (wrogie jej) środowisko i nie zdążył nasiąkać toksynami nacjonalizmu. „Wyobrażam sobie” – pisze autorka – że [Rudy] rozmawia z jakimś kolegą lub charyzmatyczną postacią ONR-u,
że „sympatyzowanie z ONR-em było imprezą bardziej koleżeńska niż polityczną”, że hasła odnowienia Polski znajdują w nim odzew (bo jest młodym patriotą), a wreszcie „kombinuje ostrożnie”, że „akceptował antysemickie elementy, lecz ich nie internalizował”. Dlaczego Sobczak tak sugeruje? Skąd to wie? „Tylko i wyłącznie dlatego, że trudno byłoby mi pogodzić się z możliwością przeciwną”. To próbka metod (zdecydowanie mało naukowych), jakimi posługuje się Sawicka, by przekonać nas, że jej bohater jest może nie całkiem bez skazy, ale chodzi tylko o wybachalny błąd młodości. Bez antysemityzmu. Bo tego zapewne nie miałaby mu wybaczyć. Na szczęście swoje emocjonalne wywody popiera także rzetelnymi dowodami merytorycznymi, co pozwala nam jej wierzyć, ale nie ukrywam, że w takich momentach odczuwam niepokój, jaki musi się obudzić w każdym historyku literatury, gdy widzi, że autor dysertacji otwarcie obsadza się w roli adwokata bohatera powieści (np. „s. 212: „Próbuję kolejnych strategii obronnych”; s. 213: „Możemy się uciec do innej strategii obronnej”). Nic dziwnego więc, że kilkanaście stron dalej Sobczak asekuracyjnie zapewnia: „nie przeprowadzam tego wywodu ani po to, żeby Rudego usprawiedliwiać, ani żeby go z poglądów rozliczać” (227). Więc po co? By „dotrzeć do perspektywy emicnej przedstawiciela środowiska harcerzy” i „lepiej zrozumieć rzeczywistość, w jakiej wyrastał”. Nie komentuję tych publicystycznych chwytów, sygnalizuję tylko, że rodzaj mój opór.

W dalszej części tego rozdziału autorka skupia się nad historią polskiego harcerstwa, pokazując jego skautingowe korzenie i proces budowania własnej tożsamości, szczególnie uważnie biorąc pod lупę to, co wiązało się z duchem żołnierskiej karności, dyscypliny, zaradności, kultu sprawnego ciała i odwagi, co z jednej strony jest oczywistą rekonstrukcją świata wartości tej młodzieży, ale też rodzajem testu, czy i w tym obszarze nie można się dopatrzyć jakichś niezgodnych filiacji idei narodowego radykalizmu lub pospolitego zupactwa. Podobna podejrzliwość cechuje kolejne podrozdziały, a szczególnie część poświęconą biograficznej książce Kamińskiego o Małkowskim - „twórcy harcerstwa w Polsce”. Dzięki temu podejściu, precyzyjnie wyławia mechanizmy legendotwórcze (przepychsza historia przekładu „Scouting for Boys” R. Baden-Powella), jakie urzędziły obraz polskiego harcerstwa (stworzony oczywiście przez zastrupionych działaczy harcerskich). Opowiadając zaś historię powstania i perypetii wydawniczych „Andrzeja Małkowskiego”, autorka przenikliwie, a zarazem nieco przewrotnie, analizuje „metodę” parenetycznego pisarstwa Kamińskiego, które przyniosło mu środowiskową sławę. Szczególnie istotne wydaje mi się w tej partii pokazanie ciekawego spłotu czynników mitotwórczego, „udoskonalającego” rzeczywistość i fakty, a zarazem autokreacyjnego,
dającego alibi do wpisywania samego siebie i własnych idealów w postać, będącą bohaterem pisanej biografii.


W kolejnych partiiach tego rozdziału autorka omawia raport Zośki, który stał się punktem wyjściowym „Kamieni na szaniec”, a w jego tle ukazuje działalność ich autora jako publicysty „Biuletynu Informacyjnego”, koordynatora działań Małego Sabotażu oraz autora „Wielkiej Gry”. Następnie szczegółowo rekonstruuje historię rodzenia się tytułu tej książki i uruchamianych przezeń symbolicznych znaczeń, prowadzących nas oczywicie do Słowackiego, romantyzmu, a w konsekwencji i do Marszałka, pokazując w jaką gęstą siatkę tradycji wpisywał się Kamiński, nawiązując do idei patriotycznej ofiary poprzednich pokoleń i przejmując z ich rąk palęczkę w tej sztacie, by nadać w ten sposób głębszy sens okupacyjnej walce i śmierci. Notabene czyniąc tę część nie opuszczała mnie myśl, czy nazwisko autora nie stanowiło jakiegoś elementu symbolicznej gry, jaką pragnął uruchomić tym tytułem.

Potem następuje partia poświęcona pierwszym dyskusjom (K. Lipiński, J. Garztecki) po ukazaniu się „Kamieni na szaniec” i wątpliwościom, dotyczącym jej spłyceń (psychologicznych, jak i
społecznego tła zdarzeń), a potem zmianom (na pozór drobnym), jakich dokonywał Kamiński w kolejnych redakcjach książki. W efekcie, w zakończeniu tego rozdziału wracają trudne pytania, tym razem dotyczące naprawdę już znaczących pominięć oraz niemalże freudowskich braków; wygumkowaniu heroizmu kobiet (matak, sióstr, dziewczyn), które dostały się (w związku z akcją) w łapy gestapo, były torturowane, ale nie dały się złamać. Dlaczego nie znalazły się wśród bohaterów tej książki – pyta autorka? Z jakiego powodu nie pasowały do patriotycznego tableau? Dlaczego Kamiński, eksponując edukacyjny wymiar szkolenia harcerzy z Szarych Szeregów, skrztętnie schował pod suknem problem przygotowywania ich do zabijania? Dlaczego wreszcie na kartach tej wiernej jakoby faktem, warszawskiej książki nie ma (poza jednym krótkim akapitem) getta i Wielkiej Akcji Likwidacyjnej, która pochłonęła ponad ćwierć miliona Żydów? Podkreśląm wątpliwości tych pytań, sam niektóre z nich sobie stawiałem już jako młody czytelnik, ale dziś rekapitulując je, sygnaлизuję swój opór wobec kończącej ten rozdział tezy, że obojętność na los polskich Żydów to efekt konspiracyjnej „obsesji doskonałości i bohaterstwa”, które jakoby (z natury) realizuje się „za cenę cierpienia innych”. Czyli że koncentracja młodych szturmanów na własnym wojskowym morale ograniczała ich empatię. Trudno w tym miejscu nie przypomnieć autorce, że podobnym brakiem zainteresowania i współczucia wykazali się także ci, którzy z podziemiem i jej sprawami nie mieli nic wspólnego. Moralny, a pewnie i psychologiczny podtekst tej tezy jest co najmniej ryzykowny.

Ostatni rozdział (VI), najobszerniejszy, zawiera omówienie trzech poważnych dyskusji, dotyczących tej książki bezpośrednio lub mających z nią ten czy inny związek. Przykładem może być słynny spór o Conrada, który Sobczak prześwieca w sposób oryginalny, stawiając nieoczywiste pytania o sposób czytania artykułu Jana Kotta, a również i samego „Lorda Jima”, w kontekście pokolenia wojennego. Wglądając się raz jeszcze w „O laickim tragizmie” oraz głosy polemiczne, wykazała, że tekstu Kotta nie czytano uważnie, przypisując mu tylko złe intencje, a prosta identyfikacja postawy conradowskiej z postawami konspiracyjnej młodzieży jest kluczem zbyt łatwym.

Następnie autorka pracy opisала jak „Kamienie...” utrwaliły się w oczach trzech autorów pokolenia 1930 (A. Janowski, J. Kuroń, B. Wachowicz) i jakie były tego skutki, a zarazem dokonała ciekawej filologicznie (choć „przegadanej”) analizy mechanizmu, który uczył z tej książki pozycję ze ściśłego kanonu (J. Tazbir zaliczył ją do grupy 12 najważniejszych polskich książek na przestrzeni wieków), by przejść do dwóch spektakularnych i ognistych dyskusji: najpierw nad ekranizacją powieści R. Glińskiego, a potem (choć chronologicznie powinna być wcześniej) nad głosną medialnie wypowiedzią Elżbiety Janickiej dla PAP,
która wyraziła przekonanie, że legendarna przyjaźń głównych bohaterów powieści (a zatem i ich pierwowzorów) była nie tylko duchową wspólnotą towarzyszą broni, ale i uczuciem o charakterze homoseksualnym. Jak pamiętamy, skończyło się trzesieniem ziemi i zwarcem szyków czcicieli narodowych świętości.

Kończąc rekapitulację ostatniego rozdziału, trudno nie zapytać: a co z odbiorem tej sztandarowo lekturowej pozycji w edukacji szkolnej? Przecież to jest największe pole do filologicznych dociekań, zwłaszcza że została ona napisana z myślą o patriotyczno-obywatelskim wychowaniu młodych Polaków. Czy i jak wypełnia tę funkcję? Jak fakt umieszczenia jej w kanonie gimnazjalnym, a nie licealnym, rzutuje na sposób jej interpretacyjnego „podawania” uczniom? A w której lidzie omawiano książkę w czasach PRL i jak kazano/sugerowano ją naświetlać? Na ile nauczyciele trzymali/ją się sugestii zawartych w ministerialnych zaleceniach i wskazówkach do omawiania lektury? Niestety te kwestie znajdują się poza polem uwagi autorki, która w przedmowie do ostatniego rozdziału wyznaje: „Nie badam całościowej receptury „Kamieni na szaniec”, a jedynie te dyskusje i sposoby lektury, które wydają mi się odsłaniać coś ważnego dla historii tego, jak kultura polska w XX wieku poradziła sobie z tą książką”.

Nie ukrywam, że tylko ujęcie całościowe, a zatem obejmujące również jej 75-letnią receptę szkolną (perspektywa nauczycielska i uczniowska), stanowiłaby satysfakcjonujące podsumowanie historii czytania tej książki. Autorka zarzeka się, że nie posiada do tego odpowiedniego przygotowania merytorycznego, ale przecież narzędzia analizy socjologicznej nie stanowią wiedzy tajemnej, której sprawny badacz nie umiałby posiadać i użyć w niezbędnym zakresie. Ale i bez tego można by bardzo wiele ustalić. W końcu istnieją ustalane przez ministerstwo „Podstawy programowe” (określające pożądany typ „wiedzy” i „umiejętności”) i wynikające z nich konsekwentnie „Programy nauczania”, gdzie bez trudu znajdziemy tzw. „pojęcia obowiązkowe”: dywersja, braterstwo, Mały Sabotaż, patriotyzm (Bóg, honor, ojczyzna), dom rodzinny, tradycje romantyczne. Istnieją w końcu także wydawane w czasach PRL-u i obecnie, szkolne opracowania lektur i epok, glosariusze, wreszcie serie edukacyjne w rodzaju „Lektury licealisty”, „Biblioteczka Opracowań”, „Biblioteka Analiz Literackich” itp. Do tego wszystkiego nie są potrzebne metody analiz socjologicznych. Pomijam fakt, że wystarczy wpisać do wyszukiwarki internetowej hasło: „Kamienie na szaniec” w programie szkolnym, by znaleźć setki wyzwań, jak wyglądały te lekcje. Większość z nich powinna wstrząsnąć mgr Sobczak.

Zbadanie, jaki model odbioru tej książki narzucali i narzucają polonisi oraz jak sprawdza się on w zderzeniu ze współczesną młodzieżą.

---

1 Warto zaznaczyć, że również w XXI wieku, bo w końcu film Glińskiego i spór o Janicką to wydarzenie drugiej dekady XXI w.
to zapewne przygoda równie pasjonująca jak te, które oferuje nam ta książka. Tu bardzo wiele rzeczy jest do ustalenia i odkrycia, ale autorka wykonała el pase de pecho, odsyłając nas do socjologów, etnografów i psychologów. Nie ciągnę tej kwestii i nie myślę z jej powodu rozdzierać szat, choć moim zdaniem sprawa jest ważna, bo właśnie ta książka była właściwym miejscem do podjęcia tej kwestii. Praca Kornelii Sobczak jest bogata i dostarcza wiele materiału do refleksji, a ona sama wybrała jak wybrała, do czego ma prawo, więc mogę tylko wyrazić żal, że wątki te wpadną (albo nie) kiedyś w ręce znacznie mniej przenikliwego/ej badacza/ki.

Praca została zamknięta krótkim 10-stronicowym „Zakończeniem”, zachęcającym do odważniejszego czytania tej legendarnej książki i dostrzegania rzeczy ukrytych w niedopowiedzeniach, w cieniu lub na drugim planie - na przykład jako pozycji pozwalającej na wnioski o charakterze pacyfistycznym.

Jak wyznalem wcześniej, nie mogę napisać o wszystkim, więc skupiam się tylko na paru sprawach. Wczytując się w rozdziały, będące de facto literaturoznawczymi śledztwami w sprawach celowo niedopowiedzianych i niewygodnych, nie napotkałem niestety rozdziału, na który liczyłem, bo w moim przekonaniu powinien być znaleźć się w tym opracowaniu, jako jedna z najbardziej ukrytych, kłopotliwych i nieprzyjemnych spraw. Wyrażę tu opinię, której nigdy nie artykułowałem publicznie, choć nękala mnie już od pierwszej lektury „Kamieni na szaniec” (a czytałem je w wieku ich bohaterów). Już wtedy zdumiało mnie jak spontaniczna i niedopracowana była ta słynna akcja, a co więcej fakt (dla mnie oczywisty), że w pierwszym „podejściu” omal nie została przeprowadzona bez zgody dowództwa, a w drugim wyrwana mu z zębów niczym przysłowiowa kość. Ta zgoda, przypomnijmy, została wyrażona przez Jana Kiwerskiego („Lipiński”) 40 min. przed akcją (a jeszcze trzeba było ją przekazać telefonicznie), co oznacza, że oddział (ok. 28 ludzi) był rozstawiony na pozycjach i trzymał palce na spustach. Po raz drugi na przestrzeni trzech dni! Gdyby pociąg Kiwerskiego spóźnił się więcej, do zamachu doszłoby bez zgody dowództwa.

Ale przecież wiemy, że do tego zamachu miało dojść już w dniu aresztowania Rudego! Pomiędzy godziną siódmatą, gdy wiadomość o aresztowaniu Rudego dotarła do Zośki, a siedemnastą, a więc w ciągu 10 godzin, został opracowany plan zamachu, a machina wojskowa wprawiona w ruch. W efekcie, operacja została doprowadzona do fazy, w której od pierwszych wystrzałów w centrum miasta młodych bojowców dzieliły tylko minuty (!). A przecież w ciągu tego dnia ostrzegali zagrożonych, opróżniali trefne mieszkania, pobierali w „punktach” broń, koordynowali niezliczoną ilość rzeczy. Do ataku na więźniarkę, jak wiemy,
tego dnia nie doszło, bo „Orsza” dosłownie w ostatniej chwili nakazał im zejść ze stanowisk. Można tylko żałować, że tak się stało, bo cel ataku byłby osiągnięty. Choć późniejsze skutki byłyby zapewne dla Zośki straszne. Ale to już inna, bo hipotetyczna, opowieść.

Ważne jest to, co się stało w chwilę po zejściu ze stanowisk: Zośka okłamała swoich szturmowców, że zamach został odwołany, bo przyszła wiadomość, że w więźniarce nie ma Rudego (podczas gdy był). Jasnawe pokazuje to, jaki był stan umysłów i nerwów oddziału. Oni byli naprawdę gotowi do przeprowadzenia akcji bez jakiegokolwiek zezwolenia dowództwa! Chciejmy to sobie jasno uzmysłowić!

Autorka dysertacji - za Kamińskim i „Orszą” - podkreśla karność Zośki i jego oddziału, który zszedł z „gorącego” stanowiska w ostatnich minutach przed przyjazdem więźniarki, ponieważ otrzymali rozkaz odwołania akcji. Ja natomiast zwracam uwagę na coś zupełnie przeciwnego: cała ta akcja została dwukrotnie (!) przygotowana BEZ ŻADNEGO ROZKAZU, w czasie nieobecności właściwego dowódcy w Warszawie, na drodze absolutnej improvizacji.

Każdy kto ma jakiekolwiek pojęcie o wojsku, wie, co to jest rozkaz w warunkach bojowych i co znaczy jego wykonanie lub niewykonanie, albo podjęcie działań na własną rękę. A tu rzecz dotyczy konspiracyjnej struktury wojskowej w czasie okupacji oraz akcji tak poważnej, jakiej wcześniej nie przeprowadzano w centrum stolicy. A tu trzydziestu narwańców z bronii (oraz ok. 70 współpracujących) udaje się w zaplanowane miejsce, by odbić kumpla. Używam tego sformułowania celowo. Mówiąc wprost: Zośka wraz ze swoim oddziałem byli w trakcie realizacji absolutnej samowolki, za jaką odpowiedzialiby sądami wojskowymi, a być może i wyrokami.

Naprawdę bardzo żałuję, że mgr Sobczak nie podjęła tego wątku, bo jego waga jest nie do przecenienia, a było wiele poważnych powodów, by w marcu 1943 r. go schować pod dywan. Bunt w wojsku, w warunkach frontowych, a za takie należy uważać okupowaną Warszawę, to albo kula w łeb, albo zamknęcie sprawy na cztery spusty i wytyczcie z pamięci. Bo co by było, gdyby inne odziały i formacje też zaczęły działać na własną rękę?! Gdyby zaczęły kwestionować kompetencje i zaangażowanie dowódców. Z punktu widzenia dyscypliny wojskowej akcja pod Arsenalem to absolutna afera!

Przypomnijmy raz jeszcze, jak wygląda zdobywanie „zgody” dowództwa na tę akcję. Oto Zośka negocjuje „z Naczelnikiem Szarych Szeregów oraz ze swoimi dowódcami z Kedywu”. Czyli z kim? Z „Orszą”?

---

2 Notabene nie przez dowódcę Oddziałów Kedywu KG AK, ale przez niższego stopniem i range dowódce.
3 Stanisław Broniewski, komendant Grup Szturmowych w stolicy, dowódca akcji pod Arsenalem.
„Nowakiem” (Marciniakiem), „Mietkiem” (Kurkowskim4)? Przecież Kiwerskiego jakoby nie ma w Warszawie... Nie ma tu jasności. Ale jest przynajmniej jasność, jak z grubsza wyglądały te „rozmowy”:

„Mówiono im [czyli kto komu5], że Rudy przecież nie jest pierwszym i nie ostatnim. Mury Pawiaka i Szucha pochłonęły tysiące ofiar. Nie odbijano wielkich przywódców Polski Podziemnej, nie odbijano aresztowanego niedawno Delegata Rządu, nie odbijano największych polskich polityków, wojskowych, uczonych. Lecz na perswadujących spoglądają nieustępliwe oczy. – To prawda, że tych wszystkich naprawdę wielkich i ważnych nie odbijano, ale Rudego musimy odbić („Kamienie...”, s. 102).

Dla porządku dodać należy, że w głowie dowódców i Zośki nie pojawił się pomysł odbicia, aresztowanego cztery dni przed Rudym „Heńka”, dowódcy hufca „Praga” (Henryk Ostrowski), wziętego wraz ze świeżo poślubioną żoną. To ważne przypomnienie, bo podobnie jak bohater „Kamieniu...” był torturowany i konfrontowany (Bytnara nie wydał, choć Niemcy zapewnieli go, że na niego „sypie”). O czym to wszystko świadczy? Moim zdaniem, że siła uczyć (zgódźmy się na ten przymiotnik) przyjacielskich była tak wielka, że wszystkie te argumenty były jak grochom o ścianę, nie przekonali Zośki, który mimo to (!) zwołał swój oddział, obsadził nim punkty bojowe i... był o minuty od otworzenia ognia. Opatniał się w ostatniej chwili. I pewnie do końca swego krótkiego życia żałował.

Jego dowódcy odetchnęli, bo sami drogo by zapłacił za ten akt wojskowej samowoli, ale problem nie minął. Zośka i jego oddział nadal parli do akcji, bo...? Najlepszy przyjaciel i kumpel musi być odbity. Wobec tego prostego, nieznoszącego sprzeciwu żądania argumenty i racje dowódców były nieskuteczne. Wszystko wskazuje na to, że przez trzy kolejne dni próbowali odwlekać sprawę, rzekomo (albo naprawdę) oczekując na powrót Kiwerskiego, bo decyzja ich przerażała, a zdeterminowany oddział Zośki po raz drugi montował akcję. Dowódcy wstrzymywali ich do ostatniej chwili, licząc, że problem się cudem rozwiąże. Widząc jednak, że może nie da się zatrzymać napiętej ciężki w zdarzeń, a zamach się i tak odנדלże, bez ich pozwolenia (za co by zapłacił głowami), na wszelki wypadek odebrali Zoście dowództwo akcji i oddali je w ręce „Orsy” (jako bardziej przewidywalnemu, wszak już raz

4 Mętnie prezentuje się rola bezpośredniego zastępcy Kiwerskiego – Mieczysława Kurkowskiego (.Mietek), który chyba w ogóle nie pojawia się w „Kamieniach na szaniec”...

5 Co znaczy to „mi”, skoro Zośka wg. Kamińskiego negocjował sam? Co znaczy „mówiono”, skoro rzekomo wiemy, na kogo naciskał?
spacyfikował akcję). Co było potem, wiemy. Legendarna akcja to tak naprawdę jedno wielkie niesczęście.

Sobczak słusznie więc pisze o jej fatalnych skutkach. Rudy umarł na rękach Żośli, Alek i „Buzdygan” zginęli od ran, „Hubert” został ujęty i zakatowany przez gestapo. Przez przypadek w zamachu od kul zginęła ciotka Żośli oraz brytyjska agentka Maria Schillers. Uwolnieni z więźniarki zostali pozostawieni na lasie losu (wśród nich storturowany „Heniek”), więc część z nich (obawiając się o swoje rodziny) wróciła na Pawiak, by potem wylądować w obozach. Pracowników Muzeum Miejskiego w Arsenale, którzy się nimi zaopiekowali, zatłuczono na śmierć. Ojciec Rudego przeżył przesłuchania, ale w zginął w obozie. Storturowano na Szucha rodziców i trzy siostry „Tytusa”, a także kilka osób z mieszkania Zdanowiczów. I oczywiście rozstrzelano 140 więźniów Pawiaka. Posepny to bilans, tymczasem w imaginarium narodowym to triumf polskiego oręża i ducha. Słusznie powywiągała to wszystko Sobczak. Ale nieśmiało przegapiła to, co w tej całej historii jest najważniejsze i również domaga się wyдобycia z cienia – ewidentny bunt podziemnej formacji, jej przeciwstawienie się woli dowództwa i przeforsowanie (szantażem faktów i decyzji) tej fatalnej w skutkach akcji.

Czy można sobie wyobrazić, że w 1943 r. taki jej obraz (czyli wojskowej samowolki i przyczyny serii katastrof ludzkich) mógł utrwalić się w świadomości oddziałów podziemnych? Jako dowód, że gdy dowódcy są kulantorscy i nieudolni, należy brać sprawy w swoje ręce? Że jak się czeka na decyzje, a nie działa natychmiast, to dowódcy sparzą sprawę? Nie, ta akcja musiała stać się bohaterską legendą karnych szturmowców⁶. To było w absolutnym interesie dowództwa. U jej podłoża jednak, w moim kamiennym przekonaniu, stoi bunt młodzieżowej formacji podziemnej. Który został zatuszowany i polakierowany na wieki wieków amien. A z akcji uczyniono sztandar chwały.

Niestety nie ma miejsca na dalsze walkowanie tej sprawy. Mogę co najwyżej wyrazić żal, że autorka, która ujawniła wielki talent w zagładaniu pod dywan narodowych mitów oraz w przewracaniu go na drugą stronę, nie poszła tym tropem. W ten sposób przez kolejnych 20 lat obowiązywać będzie „przyklepana” po akcji wersja bohatera, a nie obraz podziemnej anarchii czy jakiegoś, horrible dictu, liberum veto. Pierwszym zainteresowanym był zresztą sam Kamiński, który tak zrelacjonował tę historię, by świadczyła o harcerskiej karności i dyscyplinie. Ale już – broń Boże! – nie o zdeterminowanej, głuchej na argumenty, walce o kumpla (choć na Pawiaku byli również inni kumple-harcerze). I nie opowiadała o tych, których „przy okazji” zabito i

⁶ Warto przypomnieć sympatyczne, cytowane przez Sobczak, zalecenie F. Białołęckiego, towarzyszące egzemplarzowi „Kamieni na szaniec” przeznaczonego opawickiej formacji Szarych Szeregów: „Niech Komendant SS Podkowiec dobrze pilnuje chłopców, by po przeczytaniu książki nie zaczęli akcji u siebie na własną rękę na wzór Wojtka i Czarnego i ich kolegów”. 

Gdybym był młodszy i wierzył, że moje słowa mają siłę przekonywania, zakończyłbym tę partię wywodu apelem, by w wersji książkowej autorka dopisała rozdział/podrozdział na ten temat, ale szczero mówiąc, w ich skuteczność nie wierzę. Piszę to więc sobie a muzom.

Jak wspomniałem wcześniej, w końcowej partii książki, dotyczącej (domniemanego lub prawdziwego) homoerotycznego związku Rudego i Zośki, mgr Sobczak odtwarza historię namiętnej dyskusji, rozpoczątkowej wypowiedzi Elżbiety Janickiej. Kategorycznie pisze, że „Kamienie...”, pamiętnik Zośki i „źródła z epoki” (?) „wręcz krzyzącą o miłości”, a dynamika ich relacji „nie jest dynamiką koleżenstwa, jest dynamiką romansu”. Mówiąc krótko, autorka dokłada wielu starań, by potwierdzić pogląd Janickiej, której jest niezłowną sojuszniczką. Choć nie jestem stroną w tej dyskusji, z przekąsem powiem, że podnosi każdy freudowski pylek z podlogi, rozkłada na czworo każdy gest bohaterów tej książki (np. trzymanie się za ręce na łóżku śmierci), każdy wreszcie możliwy kontekst czy plotkę (np. wyznanie sąsiada prof. Głowińskiego), byle tylko uprawdopodobnić tę wersję. Po stronie argumentów pojawiają się nawet książki Janickiej („Festung Warschau” i „Przemoc filosemicka”) i dygresje na temat Keret House. Próbuję nie ironizować, ale bardziej wartościowa i ciekawa w tej historii wydaje mi się analiza języka, temperatury i polemicznych strategii obrońców normatywnego charakteru związku bohaterów „Kamieni” niż wątłe „dowody w sprawie”.

W jakim celu w ogóle Sobczak to robi? Bo jest astralną bliźniaczką Janickiej? Bo jest absolutnie przekonana? Wszak dowody są nad wyraz wątłe i jak sama przyznaje, niektóre są nawet z gruntu i logiki tzw. czytania paranioicznego czyli przyjmowania za pewnik tego, czego w tekstach express verbis nie ma. Więc dlatego, że „włączenie do kanonu bohaterów narodowych młodych” nienormatywnie przyjaznujących się mężczyzn to szansa na „ożywienie kanonu”? A może dlatego, że to niezły figiel wobec obrońców świętego płomienia narodu, a także dobry prezent dla środowisk twórczych? Pewnie wszystko po trocze.

Bardziej mnie jednak intriguje, dlaczego autorka tak tęczy się z pośrednimi dowodami, gdy pod ręką jest tak kapitalny argument jak „podejrzana” przyjaźń Gajcego i Strońskiego, której „dynamika” ma także cechy gwałtownego romansu, a na dodatek istnieją relacje o ich (od pewnego momentu) nierozłączności, są czule słowa w listach o wzajemnym przywiązaniu, są ich wspólne zdjęcia w piżamach (przy śniadaniu) z kilkudniowego wypadu do Konstancina, jest wreszcie powrót
Gajcego w czasie powstania na podminowaną placówkę, ponieważ został w niej Stroiński, a w chwilę później wspólna śmierć w eksplozji. Jakiż to świetny dowód na powszechność homoerotyzmu bohaterów polskiego podziemia.

Powiem, tytułem anegdoty, że gdy moja instytutowa koleżanka, prof. Urszula Glensk, zobaczyła wspomniane zdjęcie Gajcego ze Stroińskim, bez wahania orzekła, że to geje. Nie potrzebowała już żadnych innych dowodów. Do dziś jest gotowa za to dać głowę. Aby było jasne, dodam, że taka wersja w niczym by mi nie przeszkadzała, choć jej nie lansowałem. W wersji hetero- i homoseksualnej obaj ci poeci są dla mnie równie ciekawi.

Myślę jednak, że ciekawszym tropem od dowodzenia tych w końcu mocno hipotetycznych (choć efektownych medialnie) możliwości, byłoby głębokie źródłowo zbadanie dwóch związanych z tym kwestii. Po pierwsze, języka uczuciowego w polskiej epistolografii, intymistyce i pamiętnikarstwie lat międzywojennych oraz w czasie okupacji. Nie od rzeczy byłoby też zanalizowanie zachowań i form manifestowania mięskiej bliskości w relacjach rodzinnym, miłosnym i przyjacelskim. Jest więcej niż prawdopodobne, że badania te ujawniłyby zaskakujące podobieństwa, bo polski „język uczuciowy” jest zastanawiająco ubogi w porównaniu np. z językiem francuskim czy włoskim. Przypuszczałże język uczuć i zachowań miłosnych oraz przyjaźni elskich wiele sobie zawdzięczały. Nie wyklucza, że w ich pień był wspólny. Mnie osobiste nie raz zdumiewało, jak czułoostkowo pisali do siebie mężczyźni w starych dziennikach, wspomnieniach i listach. Dopiero powojenne filmy hollywoodzkie, lansujące kult „szorstkiej” przyjaźni, bezpowrotnie zmieniły ten model. Istnieją poza tym liczne teksty literackie autorów urodzonych przed wojną, w których napotykamy sceny przyjaźni, które obecnie z miejsca kojarzą się nam homoerotyczne, choć ich autorzy nie mieli takich intencji. Po prostu „pisz z pamięci” – tak „niemęska” zachowywali się wobec siebie bliscy sobie duchowo mężczyźni w czasach swej młodości. Pewnie nie wszyscy byli gejami lub kryptogejami.

Dobrym przykładem jest twórczość Konwickiego, w której często pojawia się postać przyjaciela, który jest kimś w rodzaju nateżonego wielbiciela czy wyznawcy głównego bohatera, robiącym takie awanse uczuciowe bohaterowi, że ten się czuje nimi zaenowany. Zapytany o tę kwestię pisarz, w „Pół wieku czyścica” odpowiedział, że odregował w ten sposób na pewien typ wyznawczych, oślizgłych form przyjaźni przedwojennych, które drażniły go nienaturalną temperaturą emocji. Żadne homoerotyczne podteksty jednak Konwickiemu nawet nie przychodziły do głowy, itryowała go ich miękkość.

Drugi wątek, który wart byłby zbadania w związku z tym tematem, to – ważny w tradycji kultury – model specyficznej przyjaźni/zwiazku
(nierożłączności, miłości, lojalności, gotowości wspólnego pójścia na śmierć itp.) par wojowników. Moim zdaniem, to niezłe tło do refleksji na temat natury związków uczuciowych ludzi, którzy funkcjonują w sytuacji permanentnego zagrożenia życia i walki, w której wzajemnie się wspierają i chronią. Czyli tak, jak było z naszymi młodymi parami konspiratorów z Szarych Szeregów i Dyonu Motorowego. To w ogóle temat na wielką książkę z zakresu antropologii kultury, która zaczęłaby się oczywiście od postaci Achillea i Patroklesa, i szła dalej poprzez Aleksandra Wielkiego i Hefastiona, króla Edwarda II i Pierza Gavestona, Henryka Walezego i... (nie znamy nazwiska), króla Jakuba I i jego pazia Roberta Carra, Ludwika XIII i Saint-Simona (ojca), króla Fryderyka II i... (brak nazwiska), Jakuba Sobieskiego (syna) i Wolskiego oraz Wyhowskiego, gen. Józefa Bema i Sándora Petőfiego, Ludwika Bawarskiego i jego koniuszego Ryszarda Horninga, Wilhelma II i hrabiego Eulenburga, króla Gustawa V i rzezimieszka Kurt Haiby. Prawdopodobnie do tej listy należałyby też dorzucić Adolfa Hitlera i Ernesta Röhma (później Rudolfa Hessa). Do pełnej ewidencji tego typu par na pewno brakuje wielu, ale pewnie łatwo byłoby je uzupełnić lekturą „Homosexuality and Civilization” Louisa Cromptona.

Przyjrzenie się ewolucji modelu związku dwóch wojowników, władców i ich zauszników, mężów stanu oraz ich politycznych sojuszników czy pupili, który często balansował na granicy homoseksualizmu albo był jego ważnym elementem, na pewno stanowiłoby ciekawsze tło niż detektywistyczno-psychoanalityczne dociekania, z których w sensie praktycznym niewiele wynika. Rzucam tu tylko roboczą intuicję, ale zapewne łatwo byłoby też odnaleźć współczesne pary „wojowników”. Na przykład wśród sportowców: Irena Kirchenstein i Teresa Kłobukowska, piłkarka Magan Rapinoe i koszykarka Sue Bird, Katarzyna Skowrońska-Dolata Katarzyna Skorupa (siatkarki), Katarzyna Skorupa (ta sama) i Paola Egonu; dwukrotni złoci medaliści Robert Sycz i Tomasz Kucharski (wioślarze), Edward Janczar i Zenon Plech (żużlowcy). Gdyby poszerzyć sito kwalifikacyjne, można by ujeżdżić innego typu pary: Wacław Kisielewski i Marek Tomaszewski (pianisci), Jerzy Grotowski i Ryszard Cieślak (też Ludwik Flaszen), Günter Grass i Marcel Reich-Ranicki, Ludwik Hirszfeld i Feliks Milgrom, Carl Bernstein i Robert Woodword (dziennikarze, afera Watergate), Winston Churchill i Anthony Eden, gen. Francisco Franco i późniejszy król Juan Carlos, Lech Wałęsa i Henryk Mażul. A gdyby ktoś kochał skomplikowane i niecodzienne śledztwa to może nawet Mahatma Gandhi i Jawaharlal Nehru...

Patrząc na sprawę Rudyego i Zoski z tego typu perspektywy, rzecz wydałaby mi się bardziej ciekawa, niż dochodzenie czy Zawadzki miał
dwieczeczą urydę albo czy trzymał skatowane (podkutymi butami) dłonie Rudego z intencją erotyczną, czy nie.

Jest jeszcze jedna kwestia, której chciałbym poświęcić chwilę uwagi. Ma ona związek z czystym w tej pracy eksponowaniem autorskiego „ja”. Tym razem jednak nie chodzi o emocjonalny aspekt tej obecności, choć ma z nim związek, ale o jego wymiar światopoglądowy. Znami autorów prac naukowych, nieraz na temat spraw kontroversyjnych i bolesnych, którzy pozostają niewidoczni, bo nie eksponują własnych poglądów, ale są i tacy, którzy wychodzą z kombinucji naukowości i „zajmują stanowisko”. Kornelia Sobczak jest autorką zdecydowanie drugiego typu i to z aspiracjami „frontowymi”. Nie izoluje się w swojej naukowej samotni, lecz żyje społecznymi emocjami, przenosząc je do swych badań. Jej książka jest głosem w konflikcie światopoglądowych i politycznych racji, artykułowanych w przestrzeni publicznej. Łatwo zauważmy w jak wielu miejscach tej pracy wybija np. święte oburzenie i najgłębsza złość na kulturową dyskryminację kobiet i ich spychanie na margines (co widzimy stale. choć skończyła się druga dekada XXI w.). Ilekroć pisze o ich obrazie w analizowanych dziełach (filmowych, literackich), temperatura dyskursu od razu rośnie. Autorka ma oczywiście rację, bo tam, gdzie pojawiają się (pisane zwykle z dużej litery) „męskie sprawy”, mamy na ogół do czynienia z kulturowym skandalen. ale jej emocjonalne podejście do sprawy powoduje, że wszystkie te miejsca zabarwiają się publicystyką i charakterystycznym dla niej językiem. Niestety nie jest to retoryka dyskursu naukowego. Znika chłód narracji, tolerancja dla przeciwnych jej punktów widzenia maleje, a temperatura rośnie. Co więcej, wkracza język sporu i dysputy, pojawiają się chwytły dziennikarskie. Równie żywych emocji autorka nie próbuje też poskramiać, ilekroć pisze o przemilczaniu holokaustu i przejawach antysemityzmu, we wszystkich jego wersjach – od tzw. „lagodnego” („ludowego”) po zbrodniczy. Ton „wojenny” pojawia się oczywiście w tej książce tez tam, gdzie referuje przejawy instrumentalnego politycznie, „użytkowego” traktowania patriotyzmu, zarówno w jego historycznych aplikacjach z czasów PRL-u, jak i obecnych. Tych pół, na których autorka staje w szranki z podniesioną przylbicą światopoglądową, jest naturalnie więcej, wspominam akurat te trzy, bo same „wpełzają mi” na klawiaturę. Nie ukrywam, że w takich momentach lektury dysertacji mgr Sobczak odzywał się za moimi plecami głos moich naukowych mistrzów z uniwersytetów Jana Kazimierza czy Stefana Batorego, i pytał z troską, czy to jeszcze literaturoznawstwo, czy już kulturowo-polityczna agora?

Nie mam ochoty odpowiadać na to pytanie, bo od czasu do czasu poddawałem się emocjom autorki i umiem uszanować jej zajadłość w walce o racje etyczne. Czy możliwe jest rozważanie tych spraw całkowicie
na chłodno, językiem wysterylizowanym z publicystyki i napięć kulturowej wojny? Naturalnie możliwe, ale wszystko ma swoją cenę. Dzięki swym wylotom w publicystykę, doktorat Sobczak nie jest mączącą piłą naukową, ale pasjonującą i atrakcyjną lekturą, zmuszającą czytelnika do określania się, ustalenia własnej pozycji w podejmowanych kwestiach.

Nie chcę być w tych sprawach sędzią ani doradcą, bo każdy autor musi sam rozważyć, na jaką głębokość chce wyjść ze świata nauki i jego myślowych procedur i wjść w świat publicystyki. Inna jest kalkulacja autora przedstawianej do oceny dysertacji, inna autora książki krytyczno-literackiej, walczącej o uwagę czytelnika. W obu wypadkach odradzam jednak autorce tak wyraźne pozycjonowanie się w konstelacji aktualnych dyskusji politycznych oraz emocjonalne reagowanie na obecne sposoby uprawiania polityki historycznej. Mam przekonanie, że prace naukowe powinny być budowane tak, by nie dezaktywizowały się, ilekroć kontekst polityczny wygasa. *Scientia longa, politica brevis*. Prosa naukowa nie powinna zgłaszać się niczym gorliwy prymus do komentowania bieżących strategii kulturowych władz i angażować w to emocje. Dziwna byłaby to nauka, gdyby zmieniała swoje instrumenty i zasady przy każdej zmianie ekipy władz.

Na początku tej recenzji przywołałem kwestię objętości tej pracy. Nie całkiem niewinnie, choć generalnie uzasadnia ją waga poruszonych kwestii. Wiem jednak, że ten sam cel można uzyskać środkami skromnymi, nie rozgadując się przesadnie, ale można też tak szeroko rozwinąć front narracji, by wchłonąć przy okazji wszystkie kojarzące się z głównym problemem tematy. Wtedy nieuchronnie pojawić się muszą pytania o ich niezbędność lub funkcjonalność. Na przykład, czy są potrzebne w tej książce tasiemcowe, dwudziestostronicowe rozważania o „metodzie” i sztuce narracyjnej (niezbyt cenionej przez autorkę) Barbary Wachowicz? Czy wśród rozważań na temat natury uczuciowego związku Rudego i Zoski potrzebna jest 9-stronicowa partia na temat „Przemoc filosemiczkiej”? Albo czy jest sens tak szerokiego, obejmującego 23 strony (415-438) rozwodzenia się nad pamiętną lokalizacją „Kamieni” na liście dwunastu dzieł charakteryzujących umysłowość i postawę kilku pokoleń Polaków? Tak naprawdę, do eseju Tazbira autorka „zagłada” dopiero na stronie 428 czyli po 13 stronach dywagacji. Wprawdzie zawierają porządną analizę kontekstów wypowiedzi historyka, ale jej plon poznawczy nie jest wart tak rozkorzenionego badania. Sama autorka zresztą na koniec tej partii przyznaje, że jej „podróż do roku 1988 w poszukiwaniu kontekstu okazała się jedną z tych, w których droga lepsza jest od zajazdu”, a „próbą zbudowania dramaturgii skończyła się spektakularnym fiaskiem, a napięcie rosło tylko po to, by ujść raczej ze skomleniem, niż hukiem”. Ta zdolność do autoironii jest oczywiście
sympatyczna, ale tutaj służy jako tarcza, broniąca filologiczne gadulstwo. Pragnę uświadomić, że tylko te trzy (wymienione powyżej) partie dygresyjne zajmują w tej pracy ok. 50 bitych stron, co znaczy, że jest to 10% jej pełnej objętości. A przecież wymieniam tu tylko trzy takie „węże morskie” (termin ze „Sposobu na Alicbiadę”). Zastanawiam, ile stron uszkadałoby się, gdyby je wszystkie zliczyć z całej pracy?

Naturalnie wiem, że z perspektywy młodego autora, wszystko to zdaje się niezbędne i ścisłe związane z wątkiem głównym. Takiej potrzebie wszystkoizmu ulegają zresztą czasem doświadczeni badacze. Z upływem lat ta pewność gaśnie, ale refleksja przychodzi dopiero wtedy, gdy rozprawa funkcjonuje już jako książka i niczego się zmienić nie da. Nie mam serca, by namawiać autorkę do poskromienia szlachetnego (bo opartego na świętym przekonaniu, że wszystkie konteksty i dygresje są potrzebne) gadulstwa, gdyż wyczytuje z jej pracy niezdolność do kompromisów. Sam pamiętam swoją wściekłość, gdy finansowe realia zmusiły mnie do skrócenia o połowę doktoratu i habilitacji, by mogły ukazać się drukiem. Dziś nie uważam już, by spotkała mnie poważna krzywda, choć wówczas czułem się sponiewierany. Tak naprawdę nie o objętość książki chodzi, ale jej myślową funkcjonalność, jasność wywodu, logikę konstrukcji i wzajemną proporcję wniosków, wreszcie o ilość rzuconego na stół materiału dowodowego. Do budowy solidnego domu jednym wystarczy skromny kawałek ziemi, drudzy dla jego okazałości i urody wytną spory kawał lasu. Ci pierwsi dumni będą z jego użyteczności i funkcjonalności, drudzy z ambicji i skali przedsięwzięcia; dla jednych walorem będzie dopasowanie do potrzeb, dla drugich rozmach.

Pracę doktorską mgr Kornelli Sobczak warto komplementować i wystawiać jak najlepsze rekomendacje, ale o jej przyszłym „życiu”, jako książki na czytelniczym rynku, myślę z troską. Do tak przykrych – jak ongiś moje – decyzji redaktorskich jej nie namawiam, bo z góry czuję ich nieskuteczność. Ale przynajmniej rekomenduję likwidację sporej ilości powtórzeń, szczególnie pomiędzy tekstem głównym a przypisami, choć i w samym tekście głównym odnajdujemy ich niemało, nieraz wyrażanych w tych samych słowach. To nieco poprawi sytuację, choć tak naprawdę problemem zasadniczym jest dygresyjność i menadryczność tej pracy, wynikająca z jej zachłanności we wchłanianiu – niczym odkurzacz – wszystkiego „po drodze”. Jedni ujrzą w tym pewnie pedanterię i akrybię, drudzy syndrom gadulstwa, trzeci pasję i przyjemność spierania się, komentowania i snucia opowiadania. Na szczęście w tej sprawie nie muszę być arbitrem.

Tak jak istnieje gadulstwo w sensieпоточnym, tak samo istnieje gadulstwo naukowe. Nie są identyczne, bo w drugim przypadku nie tylko o ilość słów i zdań chodzi. Ujawnia się ono w rozlewności, mnożeniu wywodów i argumentów, w paznokciowym operowaniu detalami i
układaniu ich w efektonowe mozaiki, w anektowaniu wątków pobocznych i kontekstów, w ściąganiu każdej efektonowej asocjacji kulturowej, w uporczywości dowodzenia aż „do końca” (nigdy za mało argumentów!), w delegacji własną pomysłowością i sprawnośćą, wreszcie w wykładaniu na stół praktycznie wszystkiego, bez surowej selekcji materiału. Z pewnego punktu widzenia są to zalety, więc istnieje gatunek autorów, którzy są z tego dumni. Z punktu widzenia redaktorów i czytelników, bywa inaczej.

Generalnie w metodzie pisarskiej Kornelli Sobczak dostrzegam pewien rodzaj upajania się własnymi słowami, ciągniecie fraz ponad konieczność, często dla ich efektu i urody (np. rozbudowane ciągi wyliczeniowe, mnożenie epitetów, układy paralelizmiczne, zdania antytetyczne (np. półstronicowe), autokomentarze nt. realizowanej właśnie strategii, nadbudowywanie metatekstów). Nie przeczę, że autorka potrafi to robić, nawet mnie to (jako rodzaj językowej gry) wciąga, ale wszystko musi mieć swoje proporcje i być podporządkowane nadrzędnej funkcji. To w końcu dysertacja naukowa.

Ta autorka lubi pisać (argumentować, dowodzić, opowiadac) i sprawia jej to przyjemność (co zresztą udziela się czytelnikowi), ale co jakiś czas popada w rodzaj pisarskiego narcyzmu, „nakręca” się, a nawet popisuje słowną żonglerką, co studzi nasz entuzjazm, bo widzimy rozpychające się w tym tekstie „ja” autorki. Jest ono zbyt natejne, a przez to męczące. Nie chce być niewidzialne, raz za razem wychodzi na harc i wdaje się polemiki, wyrażając zastrzeżenia wobec raz jednego, a raz drugiego omawianego autora, poddając w wątpliwość etyczną te czy inne zjawiska lub postawy, a jakby tego było mało, co jakiś czas „wdzięczy się” przed czytelnikiem, popisując się przed nim swoim sprytem lub inteligencją, ustawiając go w roli kibica. To „ja” tak często sięga po argumenty o charakterze emocjonalnym lub osobistym8, że wypada mi powiedzieć, iż autorka ryzykownie napina ciężkiew naukowości, przekraczając tradycyjnej granice bezstronności i chłodu. Badaczy pokolenia, które już przeszło na emeryturę lub zażywa wiecznego

---

7 Parę przykładów manifestacji autorskiego „ja”: „przy całym badawczym dystansie i krytycznym [...] jestem bardzo głęboko zrywa z bohaterami” (198); „wyobrazam sobie – ostrożnie, niechętnie – że takie hasła mogły znaleźć w [Bytnarz] oddziwilk” (205); „przez niech nie przeprowadzam tego wywodu po to” (227); „bardzo się staram, by nie używać jej [nazwy faszystów] pochopnie” (245); „napisanie „w duchu” chrystianizmu jest w tym miejscu zabiegłem, z mojej strony, nieco asekuracyjnym” (253); „piszę to z roszymłem” (263); „jak nam się powiedziało”; „nie jest located zbyt profesjonalnym przyznawać się do myśli, jaka tworzyowała mi przy przystępowaniu do lektury, ale...” (485) itd., itd.

8 Nie czuję się komfortowo, gdy autorka rozwodzi się nad swymi hołubionymi czułkóh, dziecina uczuciami, bohaterów „Kamieni na szaniecie”, zapewnia jak „bardzo głęboko jest z nimi zrywa i ma do nich stosunek osobisty” (w czym patruje siłę tej książki, często raczej uogólnić się nie da), a nawet demagogicznie wywodzi, że zignorowanie tego uczucia w jej rozważaniach „byłoby chyba bardziej „nicznaukowe” niż przyznanie się do niego” (s. 198). To jedna z wielu emocjonalnych sztuczek, które pojawiają się w tej książce, a których obecność żle toleruję.
odpoczynku, takie zjawiska niepośmiernie drażniły, więc je u swoich uczniów tępiili, a w recenzjach doktorskich zwykle robili z tego „sprawę”. Mnie wchodzenie w poetykę eseju, a nawet publicystyki, nie drażni, sam to nieraz robię, ale gdy w tekście stricte naukowym, jakim jest dysertacja doktorska, persona autora (jego przekonania, gusty i temperament) stają się nadmiernie widoczne, także odczuwam opór.

Mam świadomość, że wytrąciłem ze swej recenzentki teczki pewną ilość trudnych kwestii, które można odbierać jak uwagi krytyczne. Chcę podkreślić, że w mojej intencji są raczej rodzajem uczciwej wymiany myśli, na jakie zasługuje ta ambitna i w wielu obszarach odkrywcza praca. Ograniczenie się do streszczenia i paru dobrze brzmiających komplementów było naturalnie możliwe, ale byłoby nie na poziomie (wysokim) tej dysertacji. Ona naprawdę zmusza do myślenia, każe literaturoznawcy dokonać rewizji myślenia o książce Kamińskiego, która była lekturą inicjacyjną wszystkich Polaków urodzonych po wojnie, a do szczególnej uwagi zmusza kogoś, kto również pisał o sprawach wojny i konspiracji w polskiej literaturze. Opracowanie Sobczak dotyka wielu kwestii traumatycznych, więc i moja recenzja nie może być tylko czutym głaskaniem po włosach. Bolesne sprawy z istoty swojej bolą, więc i dyskutowanie o nich też trochę boli. W końcu emocje są i po stronie autora, i po stronie czytelnika (recenzenta). Mówię to, bo zdecydowanie nie chciałbym, aby moje uwagi i spostrzeżenia, a w finale redaktorskie intuicje oraz prognozy, zaciążyły w jakikolwiek sposób na ocenie tej pracy, która - jak oświadczyłem na wstępie, a potwierdzam i na końcu - zrobiła na mnie spore wrażenie, zwłaszcza swą erudycją, intelektualną odwagą i analityczną werwą, bezkompromisowością w mierzeniu się z uświęconymi przekonaniami, którym się przeciwwstawia, wreszcie precyzją w formułowaniu trudnych i bolesnych wniosków.

Z głębokim przekonaniem, że obrona tej rozprawy doktorskiej otworzy nową kartę kariery wiele obiecującej i uzdolnionej badaczki, wnioskuję o dopuszczenie mgr Kornelii Sobczak do dalszych etapów przewodu doktorskiego, a zarazem wyrażam przekonanie, że jej wyróżnienie (najlepiej nagrodą ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego) byłoby adekwatne do jej wartości.

Wrocław 1.06.2020

[Podpisanie]

ps. Proponowałem weryfikację informacji jakoby Keret House miał szerokość 152 metrów.